

# MYŚLIWIEC

WARMIŃSKO



MAZURSKI

DODATEK DO Nr 2 (92) / 2022

## Świat się zmienia

Kiedy przed trzydziestu laty zostałem myśliwym, to tradycje łowieckie wyglądały zgoła inaczej...

Koło łowieckie... Takie jest nasze podstawowe ogniwo organizacyjne, właściwie w każdej, nawet najmniejszej miejscowości w Polsce pod warunkiem, że znajdzie się tam odpowiednia liczba członków założycieli, którzy wydzierżawią obwód łowiecki, zarejestrują się w PZŁ itd., itd.

Ale ja nie o tym, ja o najmiłszym ze zwyczajów łowieckich, mianowicie o tradycyjnych spotkaniach kolegów myśliwych. Odkąd pamiętam zadaszona wiata w łowisku były najczęstszym miejscem koncentracji myśliwych, podobnie jak wiaty przystanków autobusowych były i są miejscem spotkań wiejskiej młodzieży. Tam się planuje, co robić? Czy grać w piłkę, biec nad wodę, czy po prostu posiedzieć i pogadać!

Po zakończonym polowaniu zbiorowym, czy też indywidualnym, szło się pod wiatę, gdyż niepisany zwyczajem właśnie tam było podsumowanie łowów. Nikt z nemrodów czy z naganki nie śpieszył się do domu – no, bo przecież telefonów komórkowych nie mieliśmy! Żona nie wzywała do natychmiastowego powrotu! A zresztą, nikt wówczas tych komórek nie potrzebował – myśliwi po prostu wychodzili z domu i rozmawiali ze sobą, przez płot, na chodniku, na drodze, pod sklepem, przy ławeczkach, które stały kiedyś koło każdego domu... I nie było problemu z przekazywaniem informacji. Stacjonarne telefony posiadał nieliczni.

Na spotkaniach, biesiadach myśliwskich niepisany prawem było, że starsi stażem myśliwi mieli najwięcej do powiedzenia i głównie im się okazywało szacunek! Pewnie, że nie raz, nie dwa jakiegoś psikusa się im zrobiło, ale nikt się nie obrażał i nie było zawziętości jak to obecnie bywa! Wiekowemu myśliwemu miejsce siedzące w przyczepie zawsze się znalazło, najbliższe stanowisko strzeleckie im się oferowało – po prostu mieli pierwszeństwo i basta. My, smarkacze z mlekiem pod nosem to respektowaliśmy, ale także i wszyscy inni z członkami zarządu na czele!

Powoli wszystko mija. Aktualnie wszedłem w wiek myśliwego dojrzałego, i doskonale widzę, co się w praktyce dzieje. Ci, którym wąż się sypie udają, że nie widzą stojącego w przyczepie starego nemroda. Również

niejednokrotnie rozprawdzający na polowaniu zbiorowym nie dba o starszego nemroda, a tym samym nie szanuje jego wieku (myślę o bliskiej marszrucie na stanowisko strzeleckie).

Kiedy jest się w młodzieńczym, później w średnim wieku przyjaźń myśliwska wydaje się wieczna. Niestety lata nieubłaganie biegają szybko, jak kula do celu! Losy niegdyś bliskich sobie nemrodów z latami rozchodzą się w różne strony. Część odchodzi polować do krainy wiecznych łowów, z różnych powodów inni rezygnują z łowiectwa.

Z tym, że tradycje łowieckie, zwyczaje myśliwskie, zasady postępowania na polowaniach jak i po polowaniach, obrzędy i zachowania zmieniają się z roku na rok! To co miało przyzwolenie czterdzieści, dwadzieścia lat temu, dziś jest nie do pomyślenia! Nie oszukujmy się, spójrzmy głęboko w serce, kiedyś były takie czasy, że tradycją w myślistwie, jak i w całym narodzie, było ostre biesiadowanie. Wszystko opierało się na opiciu sprawy. Piło się w pracy, piło po pracy, piliśmy się w trakcie polowania i po zakończeniu łowów. Był to ogólnie przyjęty zwyczaj, popierany przez władze PRL, bo zyski czerpane z państwowego monopolu spirytusowego okazywały się jedną z ważniejszych pozycji budżetowych państwa. A z drugiej strony naród napity, to naród zadowolony z życia!

Prezesa pierwszego koła łowieckiego, do którego miałem przyjemność należeć, znałem jak przysłowioвого „łysego konia”. W sprawach „zakrapianych” należał do pierwszej ligi. W szczególności słynne były organizowane przez niego polowania na pióro, czyli na kaczki! Również głośne były biesiady po zakończonych polowaniach zbiorowych. Zawsze było więcej gości niż miejsc, a on nigdy nikomu nie odmawiał, warunek – pół litra i zakąska!

Zdarzyła mi się niejedna z nim wesoła przygoda. Opowiem Wam dwie spośród wielu! Wracaliśmy późnym wieczorem do domu, po biesiadzie kończącej zimowe polowanie zbiorowe. Na szczęście w nieszczęściu prezes prowadził swój samochód bardzo powoli, ja spałem obok znużony nadmierną ilością pobranych gradusów. W odległości 6 km od domu także on przysnął. Samochód, jako martwy przedmiot, samodzielnie źle się prowadził, a może i dobrze, bo skręcił z głównej szosy na leśną zaśnieżoną drogę! Następnie po



przejechaniu kilkuset metrów ugrzązł w śnieżnej zaspie pod rozłożystym świerkiem. My nadal spaliliśmy snem sprawiedliwych nemrodów! Po dwóch godzinach siarczasty mróz nas obudził, prawie wytrzeźwiałych, wychłodzonych i wystraszonych. Wygrzebaliśmy się z auta, próbując dociec co się wydarzyło. Wokół śnieżne drzewa, jak w bajce Hansa Christiana Andersena, *Królowa śniegu*. Padający śnieg przykrył ślady jazdy, a ciemność nocy dopełniła całości. Warstwa śniegu utrudniła powrót do auta, więc idąc za odgłosami jadących samochodów dotarliśmy przez zaspę do szosy. Na szczęście zabraliśmy z sobą dubeltówki. Dwa obsypane śniegiem „bałwany” zabrał do Szczytna uprzejmy, bo znajomy kierowca. Następnego dnia, z samego rana wyruszyliśmy z prezesem na poszukiwania pojazdu! Bez rezultatu. Wszystkie choinki były podobne, bo zasypane białym puchem, a śnieg pozacierał wszelkie ślady. Na trzeci dzień zorganizowaliśmy grupę poszukiwawczą. Dziesięciu ludzi ustawionych w tyralierę, ruszyło mniej więcej w okolicy, gdzie pozostawiliśmy pojazd. Po kilkunastu krokach zguba znalazła się.

Druga historia związana jest z naszymi psami, bo ja i prezes w tym samym czasie posiadaliśmy psy myśliwskie, ja foksteriera SABĘ, prezes wyżła ASA. Pamiętam jeden z humorów, który opowiadałem na temat powonienia: „Moja SABA ma wspaniałą węch. Ostatnio zapomniałem zabrać na polowanie nóż, dałem jej powąchać pochwę i wierzcie mi, że wkrótce wróciła z nożem w pysku”.

Gdy tylko kończyłem swój humor, prezes od razu zaczął zachwalać swojego wyżła: „A jednak mój AS jest mistrzem nad mistrze w powonieniu! Podczas ostatniej wycieczki na plażę, małżonka zapomniała zabrać stroju kąpielowego. Dałem powąchać jej biust i nie uwierzycie – po godzinie przyprowadził listonosza”.

Z prezesem i z naszymi psami, wybraliśmy się do

zaprzyjaźnionego leśniczego w okolicy Olsztyna, na polowanie indywidualne. W obejściach leśniczówki, oprócz leśniczego i jego żony, powitała nas suka bez rodowodu o imieniu LORA. Nie grzeszyła ona urodą: łeb miała jak sagan osadzony na cienkiej i długiej szyi, wyrastającej z wygiętego kadłuba o krótkich nogach i wywiniętym w spiralę ogonie. Za to posiadała mnóstwo myśliwskich zalet, o których zaczął nas zapewniać leśniczy w trakcie mocno zakrapianego poczęstunku. Rozwodził się na ten temat szeroko, przywołując co chwilę z kuchni małżonkę na świadka, ale z niepewnych potakiwań głową, wywnioskowaliśmy, że nasz gospodarz trochę przesadza. Pomimo braku rodowodu, okropnej urody – zapewniał nas – że jest typową „dzikarką” i to z dziada pradziada! Leśniczy twierdził, że oczywiście głosi wyłącznie dziki, ewentualnie jeżeli jej polecą, to również i jelenie! Idzie kilometrami za farbą, rozróżnia znakomicie świeży trop od starego i na ciche gwizdnięcie bez wahania wraca do nogi, odznacza się przy tym niesłychaną ciętością i odwagą.

– A ty „prezesu” na dziki lub jelenie z tym wyżłem? – drwił z mojego kolegi leśniczy, i to coraz śmieiej po każdym wypitym łaosie wódki.

– AS jest uniwersalny, był na niejednych dzikach i na wielu rykowiskach – odparł z uśmiechem prezes.

– Chyba nie zaaportował jelenia?

– Nie. Ale nie raz odszukał postrzałka.

– A twojego szczeniaka w kieszonkę włożysz czy do breloczka przypniesz? – zwrócił się do mnie pan lasu.

– Jak trzeba będzie to ją do torby wsadzę!

Wstaliśmy od stołu, bo już nam dobrze w głowach szumiało, a i czas było wyruszyć w las. Drzewa stały w jesiennej szacie, lekki wiatr zrzucał pierwsze kolorowe listki, na bladym niebie pyszniło się zachodzące słońce. Rozpoczęliśmy polowanie z podchodu. Przeszliśmy jeden i drugi zagajnik, potem wysoki las bez podszycia. Teren był falisty, pagórkowaty, o stromych wzniesieniach, poprzerzynany głębokimi jarami. Psy poszły w gąszcz, myszkowały w krzakach na dnie jarów i nie znalazłszy nic godnego uwagi, ukazywały się na przesiekach. AS a tuż za nim SABA bez wezwania wracały do nogi i szły o pół kroku za nami, póki prezes znów nie polecił im szukać.

Natomiast LOREĘ trzeba było brać na smycz, bo rwała się bez przerwy przed szereg. W jakiejś drągowinie pogoniła za szarakiem, skomlać i szcękając na przemian z uciechy, i żaden gwizdek nie skutkował. Ganiała za wszystkim co się ruszało, póki nie zgubiła tropu, płosząc przy tym wszelaką czarną i płową zwierzynę w okolicy. Leśniczy skwaśniałą miał minę. Na koniec podsumował, że towarzystwo ASA i SABY negatywnie wpływa na poczynania mądrej LORY. Wówczas przypomniał mi się humor, który po jego wypowiedzi opowiedziałem myśląc, że da on mu dużo do myślenia: „Znudzony nieudolnością swojego psa, myśliwy zaczął z nim grać w szachy. Wtem zjawia się kolega:

– O rety! Ale masz mądrego psa!

– Jaki on mądry, tylko raz ze mną wygrał, a trzy razy i to pod rząd przegrywał!!!

Gdy noc zapadła wróciliśmy do leśniczówki. Zjedliśmy sutą kolację, wypiliśmy strzemiennego i przed północą dotarliśmy do domu. Przez całą powrotną drogę prezes i dwa psy smacznie pochrapywały...

Leszek Mierzejewski

(e-mail: [leszek.mierzejewski@gazeta.pl](mailto:leszek.mierzejewski@gazeta.pl))

# Strach ma wielkie oczy

*Opublikowany we wrześniu 2021 r. felieton pt. „Moja żona i myślistwo” uzyskał bardzo przychylny komentarz, więc postanowiłem zamieścić podobny, też z życia wzięty.*

Około dziesięciu lat wstecz, wczesną jesienią, gdy jeszcze byłem właścicielem posiadłości letniskowej, mój sąsiad zza płotu, warszawiak z dziada pradziada, zapytał mnie niby z nudów o coś błahego, tak z głupia frant, a w rzeczywistości dążył do rozszyfrowania moich nocnych wypadów do lasu:

– Leszek czy ty, będąc sam w tej głuszy, nie boisz się dzikich zwierząt, a co gorsza nie lękasz się jakichś sił nadprzyrodzonych?

Mówiąc ostatnie słowa zrobił grymas na twarzy i niesamowicie dziwną minę, że gdybym zobaczył go wówczas w łowisku to na sto procent wystraszyłbym się swojej samotności. Odpowiedziałem mu, że Kocham las, że każde łowisko bez postronnych ludzi jest przyjazne, zarówno w dzień jak i w nocy.

– Gdy nie ma ludzi, nie mam powodów do obaw! – oświadczyłem mu z uśmiechem na twarzy, dodając, że dzikie zwierzęta boją się bardziej nas, niż my ich.

Następnego dnia, tak bez zastanowienia się, zaproponowałem mu nocny wypad na zasiadkę, na moją ulubioną ambonę. O dziwo, zgodził się bez sprzeciwu! Podejrzewam, że nudził się, bowiem od kilku dni był sam na letnisku. Rodzina wyskoczyła na kilka dni za interesami do Warszawy. Rad nie rad zabrałem go na nocne polowanie.

O godz. 21.00 wyjechaliśmy spod naszych domków letniskowych. Po drodze wpisałem się w książce ewidencji polowań u łowczego i hajda na ambonę. Samo dojście do celu znałem jak własną kieszeń, a pierwszy zmierzch dodawał mi animuszu. Rozpoczęły się w łowisku fantastyczne szelesty, szумы i jęki. To nic innego jak przywitanie nas przez ukochany las. Ja nocny język lasu rozumiałem, warszawiak ani w ząb nie kumał! Nie odróżniał żadnego odgłosu, nie rozumiał o co w tym wszystkim chodzi? Ile ważnych rzeczy jest mu w stanie las przekazać? Wiele informacji wyłowi ten, kto kilkadziesiąt razy przebywa nocą w lesie!

Na początku ścieżki czułem bliskość natury, wchłaniałem pachnącą macierzankę i zapach mięty. Otoczeni byliśmy wianuszkami wiotkich choinek pod troskliwym okiem wyrosniętych sosen i świerków. Szczególnie odczuwałem piękno oddalonych drągów, które w księżycową noc przypominały krzyżackich rycerzy, wyjątkowo tajemniczych i ponurych.

W połowie naszej wędrówki musieliśmy przejść przez leśną gęstwinę tzw. młodnik, gdzie w zwartych koronach sosenek gałęzie rozwijają się wolniej, ale gęściej niż na rosnących pojedynczo drzewach. Nieświadomie puszczona przez moją rękę, jedna z tych gałęzi uderzyła towarzysza w twarz, który zaklął szpetnie, wyrażając niechęć do naszej wędrówki. Więcej nic nie mówił, tylko idąc sapał ze złości.

Maszerowaliśmy krok w krok i co dla mnie najmilsze, że w milczeniu. Teren stawał się wyjątkowo nieprzyjazny, bo pofałdowany, zaciemniony i do tego z mnóstwem próchniejących konarów i niewidocznych

przeszkód. O takim miejscu myśliwi mówią same złe rzeczy. Ja od razu pomyślałem o znanym mi uroczysku „Wilczy”, gdzie jeszcze nie tak dawno grasowały watahy wilków. Ciarki przeszły mi po plecach gdy mój kompan potknął się i runął jak długi... a do celu zostało kilkanaście kroków.

– Mam już wszystkiego dość! Zamiast wylegiwać się w miękkim łóżku, włóczę się po leśnych przesmykach, jeszcze sobie goleń skręczę! – wrzasnął warszawiak.

Po początkowych perypetiach udało mu się wgramolić na górę ambony, przy czym o mało nie spadł na dół, bo po ciemku już na ostatnim szczeblu obślizgnęła mu się noga. Dobrze, że podtrzymałem go, asekurowając od dołu. Gdy usadowiliśmy się w koszu ambony, po raz kolejny dostało mi się! Krzyczał, że jego szlachetna dupa nie będzie tyle godzin spoczywała na tej twardej, nieheblowanej desce. Dla dobra sprawy oddałem mu swoją miękką podkładkę, którą zawsze woziłem z sobą dla wygody mojej dolnej części ciała, gdzie kończy się szlachetna nazwa „kręgosłup”.

Tylko częściowo udobruchałem go miękką podkładką, pragnąc całkowicie go zjednoczyć i uspokoić, rzekłem beztróskim głosem:

– Popatrz przed siebie, tam jest ńęcisko. Do niego powinni przyjść dziki. Obserwuj teren, ja się trochę zdrzemnę, dopóki księżyc nie wyjdzie zza koron drzew. To było moje pobożne życzenie! Nie mogłem zmrzyć oka, podniecony warszawiak kręcił się jak dziecko na karuzeli. Obracał się i w przód i do tyłu, rozglądał na wszystkie strony, jak peryskop wynurzony z podwodnego okrętu. Ciemny las był dla niego straszny, przedstawiał się w czarnym świetle. Gdzie nie spojrzął tam coś się ruszało! Gdy tylko zamknąłem oko, wrzasnął:

– Leszek! Nie śpij, tam zło się miota!

– Tak, to ruszała się gałąź w wschodzącym blasku księżycy.

– O rety, tam jakaś wiedźma ryczy!

– Uspokój się, bo mi wszystkie dziki z łowiska wystraszysz – poprosiłem go mocno podenerwowany.

Nastała jasna noc, a z nią przenikliwy chłód. Wtem jelenie-byki rozpoczęły koncert, porykując w niedalekich rewirach. Za chwilę przed nami przemaszowały łanie, cielaki i młode byczki. Cafe to towarzysstwo rozpoczęło ucztę na moim ńęcisku. Smakowały im poobiednie odpadki z restauracji mojego kolegi i porąbane buraki. Księżyc świecił coraz jaśniej, zacierając ciemne kontury drzew. Zrobiło się widno jak w dzień, można rzec, że nastąpiło południe. Coś fantastycznego, czyżby szykowała się scena z diabelskiego sabatu, lub niesamowite obrazy z Marsa. Wszystko o tej porze nocy, w pełni księżycy stawało się możliwe, a wyobrażenia ludzka jest nieobliczalna. Więc czekaliśmy na elementy z baśni ludowych i na tańce czarownic, które w moim łowisku zaczęły odprawiać czary, i to za lada moment.

Czyżby wraz z wybiciem północy, wyobrażenia zaczęła w łowisku odmierzać czas harców i niestworzonych dziwolągów? Czyżby w zaczarowanym lesie, diabły zaczęły rządzić łowiskiem, z którego zaraz wyskoczą dzikie zwierzęta? Ciarki przeszły mi po całym ciele, kropelki potu spłynęły po czole, spojrziałem kątem oka na kolegę, trząśnięty jak galareta. Ambona

od niego dygotała. Gdyby teraz pojawił się czarnuch, to nie jestem pewien czy trafiłbym do celu?

Dla uspokojenia siebie i kompana opowiedziałem dowcip, jak kiedyś, w identyczną księżycową noc, po parku miejskim biegał człowiek i od czasu do czasu krzychał: pif, paf. Przyjechała policja i zdziwiona zapytała, po co on to wykrzykuje?

- A nie widzi „władza”, że poluje?
- Ale przecież tu nie ma żadnego dzikiego zwierza!
- Dlatego też nie mam strzelby!

Pomyśleli i odjechali, gdyż każdemu wolno biegać po parku i swoje słowa wykrzykiwać! Warszawiak na jakiś czas uspokoił się, ale za moment denerwował go każdy trzask, ruch gałęzi, ruszający się cień w leśnych zakamarkach. Gdzie nie spojrzał to twierdził, że pomimo rozświetleń księżycy, on nic nie widzi, tylko wciąż słyszy jakieś podkradające się zjawy! Na koniec orzekł, że nocne łowy to nie dla porządných ludzi, którzy o tej porze powinni już dawno „kimać” w swoich łóżkach. Pomyślałem, że muszę opowiedzieć mu inny dowcip i na dłużej udobrucham go i uspokoję:

- Pewnego dnia, pewien myśliwy z racji tego, że przeszedł na emeryturę, urządził kolegom ze swojego koła popijawę. W następnym dniu opił ten fakt z kolegami wędkarzami bo był też zapalonym moczycykiem. Trzeciego dnia wypił sam odrobinę, na tak zwanego kaca i poszedł na ryby, żeby pomału na łonie natury dojść do siebie. Wówczas mu się poszczęściło, wyłowił z leśnego jeziora rusałkę. Czwartego dnia okazało się, że był to sum, okazałych rozmiarów i do kaca doszedł niesamowity wstyd!

Mój współtowarzysz zaczął rechotać, i to coraz głośniejsze, więc byłem pewien, że uspokoi się chociaż na dobrą godzinę. Ależ skąd, on wciąż doszukiwał się niezwykłości i fantastycznych elementów w nocnym lesie. Teraz wszędzie słyszał jakieś kroki, czuł narastający lęk. Gdy księżyc skrył się za chmurami, szepnął mi, że coś bardzo powoli zbliża się ku nam. Wyobrażał sobie, i wmawiał mi powoli, że musi to być coś bardzo paskudnego, coś niewyobrażalnego.

- Za chwilę obejmą nas zimne ramiona, jakieś małe zjawy leśnej...

Nie doczekałem się godzinnego, jako takiego spokoju, zaczął ponownie z podwójną siłą jęczeć, stękać, skomleć i trząść się. Wtedy i mnie zaczęło wydawać

się, iż słyszę czyjeś wyraźne kroki:

- Cholera jasna, przecież duchy tak głośno nie chodzą! Czyżby kłusownik?

Ciszę nocną przerwał jękliwy głos warszawiaka:

- Stój! Kto idzie?

Nikt nie odpowiedział. Teraz ja poczułem, że pod czapką moje siwe włosy stają dęba.

- Leszek strzelaj! - wręcz zaczął mi rozkazywać.

- Strzelaj do jasnej cholery!

Wtem z cienia wynurzył się ogromny odyniec i rażno skoczył w gęsto zarośnięte świerki.

- Uspokój się... - teraz ja szpetnie zakląłem.

Zdenerwowany, obsztorcowałem ile się dało moje go współtowarzysza.

- Wybacz, to z emocji, takiej czarnej olbrzymiej świni jeszcze nie widziałem! Tak precyzyjnych widowisk też nie oglądałem, a w swoim życiu niejednego zakątek świata zwiedziłem! - rzekł warszawiak.

Faktycznie, las robił olśniewające wrażenie, księżyc jak wytrawny malarz wydobywał z wyobraźni coś fantastycznego i tajemniczego, co może tylko kryć się w głębi nocnej kniei. Z jednej strony, ten obraz przerażał, ale z drugiej zaskakiwał niezwykłością, wzbogacając nasze nikłe wyobrażenie, a w szczególności człowieka z murów Stolicy.

Po przejściu odyńca chmara łan rozpierzchnęła się na wszystkie strony. Za dobre pół godziny, z prawej strony po krzakach i zaroślach, rozpoczęła się szamotanina, biegi i skoki. To warchlaki zapoczątkowały swój letni, szalony taniec, inaczej mówiąc, swój jarmark. Sąsiad znów się najeżył, chwycił mnie za rękę krzycząc:

- Trzeba uciekać, to jakaś siła nieczysta!

- Cicho siedź, to zaraz dziki podejda na oświetlone miejsce!

Nie miałem żadnych szans na upolowanie dzika. Sąsiad robił taki rwetes, że wszystko, co było wokół żywe, uciekało jak najdalej od naszej ambony.

*Leszek Mierzejewski*

*E-mail: leszek.mierzejewski@gazeta.pl*

## LIST DO REDAKCJI

Krynica Zdrój, 15 czerwca 2022 r.

Darz Bór, szanowni Koledzy po strzelbie spod znaku św. Huberta

Przeczytałem apel zamieszczony w „Myśliwcu Warmińsko-Mazurskim” nr 1(91) marzec 2022 o zbiórce łusek i metali kolorowych w celu budowy pomnika. Postanowiłem dołożyć swoją skromną cegiełkę i przyłączyć się do jego powstania.

Chciałbym także napisać kilka słów o sobie. Jestem myśliwym w drugim pokoleniu ze stażem łowieckim

44 lata i członkiem WKŁ „Jeleń” nr 128 Krynica Zdrój. Pochodzę ze wsi Gawrych-Ruda nad jeziorem Wigry. W domu rodzinnym mieszka starszy brat, on także jest myśliwym, poluje w KŁ „Szelment” Suwałki. Z sentymentem wspominam rodzinne strony, a dzięki braterskim kontaktom otrzymuję od niego „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego”, którego czytam z przyjemnością. Dzięki temu mogę dołożyć swoją małą cegiełkę do budowy pomnika Jelenia Mazurskiego.

*Z myśliwskim pozdrowieniem Darz Bór  
Stanisław Suchocki*